№ 9. Warszawa, dnia 26 (14) Lutego 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

W pierwszy tydzień Wielkopostny.

Od paru dni dopiero odpoczywa nasze miasto po karnawałowych wysiłkach.

To, na co patrzylismy własnemi oczyma w połączeniu z tem, co się nam obiło o uszy i co ogłosił druk, niby ku zbudowaniu powszechnemu, pozwala nam summę tegorocznej ochoczości zapustnej nazwać wysiłkiem, i przytem wyrażeniu, jako użytem po dobrym namyśle i pewnym nawet obrachunku, obstawać jesteśmy gotowi.

Obrachunki tego rodzaju nie przedstawiają w istocie specyalnych trudności.

Choćbyśmy jak najkunsztowniej starali się podnieść znaczenie pracy i intelligencyi, przeciwstawiając te czynniki produkcyi kapitałowi uwięzionemu w nieruchomości lub papierze procentowym, zawsze to tam prawda zostanie prawdą, a posiadanie realne będzie miało swoją wyższość nad temi rękojmiami, jakie człowiekowi daje jego praca osobista, związana bądź co bądź z niepewnością życia, ryzykiem, konkurencyą, i Bóg wie jakimi hazardami, a igraszkami losu. Ponieważ zaś od tego jest znajomość życia i stosunków, aby módz w każdem towarzystwie niezależnie od złudnych pozorów rozróżnić ludzi rękojmi bezwzględnych od tych, którzy posiadają tylko względne, więc zdarza się, że robi sobie kto chce i potrafi tego rodzaju podział obecnych na dwie części, z których w imię prawdy wyznać należy, część pierwsza okazuje się zawsze o bardzo wiele mniejszą od drugiej. Ta pierwsza przynosi ze sobą do zabawy swobodę szczerą i spokojność o jutro — druga przynosi... to bardzo trudno uogólniać to, co ona przynosi, ale my nazywamy to co ona wynosi wysiłkiem, i to jest dla nas odpowiedzią wystarczającą. Nie powinien był, albo nie powinna była znaleźć się tutaj, a mimo tego jest — jest tutaj, pomimo tego, że jutro stanąć musi do obowiązku o godzinie naznaczonej, a zatem albo uchybi obowiązkowi, albo zrobi najgorsze z nadużyć, bo nadużycie sił. Weźmy summę spostrzeżeń takich na jednym wieczorze tańcującym lub na jednym balu, pomnóżmy to przez ilość wieczorów i balów, w których uczestniczyliśmy sami, a wypadnie nam w ostatecznym rezultacie wysiłek jako jedyne określenie malujące najwłaściwiej to, co nam szał zapustny jako wrażenie pozostawia po sobie.

Obciążającą na niekorzyść naszą jest jeszcze ta okoliczność, że my jako pokolenie wogóle dosyć mocne w teoryi, zaangażowani jesteśmy w pewnym stopniu hymnami śpiewanymi na cześć naszej trzeźwości, propagowaniem onej trzeźwości trochę deklamatorskiem, a nadto krytyką dosyć surową, której nieskąpiliśmy, przyznać należy, przodkom naszym za tę ich właśnie lekkomyślność karnawałową, i za to, że jak się to zwykle dzisiaj mówi, pozostawili nam oni spuściznę materyalną wcale nieszczególną.

O ile smutny stan spuścizny materyalnej zawdzięczamy wyłącznie im, trudnoby nam było co prawda udowodnić, ale to się w każdym razie rzuca do oczu, że w stosunku do swojej możności, byli oni chyba mniej lekkomyślnymi od nas, bo robili przy swoim pieniądzu to samo, co my potrafimy robić przy naszym braku. Że nam pozostawili w spadku swoje *jakoś to będzie*, od którego się wyraźnie odżegnać nie możemy, za to byłby żal do nich o wiele więcej, zdaniem naszem, usprawiedliwiony. No, ale niby od czegóż byłyby owe dary Ducha Świętego, o których poucza katechizm. Pokazuje się jednak, że my tych darów odziedziczyliśmy także tylko część pewną, a reszta jak nie przychodzi, tak nie przychodzi. Mamy naprzykład rozum, bo trafnie oceniamy źródło wielu niedomagań naszych, mamy i pamięć dobrą, bo się procesujemy o mnóstwo braków i niedostatków z tą przeszłością naszą, którą ciągle za nie robimy odpowiedzialną. Nie można również powiedzieć, żebyśmy sumienia pozbawieni być mieli, bo ten stary gderacz niepokoi nas od czasu do czasu, o czem każdy z nas mógłby przecież coś niecoś od siebie powiedzieć. Tylko z tą jedną wolną wolą jak było niedobrze, tak jest dotąd.

Byle nas jednak to sumienie nie opuszczało, to może przy jego pomocy zdołamy wymódz na sobie pewne reformy, a jeśli na jakim punkcie niepokoić ono nas musi najwytrwalej w początku zaraz pokarnawałowej skruchy, to chyba pod względem zaniedbania obowiązku rodzicielskiego, który na zapomnieniu się karnawałowem szczególnie, przyznać należy, szwankuje u nas. To jest jedna ze stron ujemnych, która najbardziej razi i która najwięcej smutnych uwag nasunąć może każdemu. Dzieciom wogóle mniej przydatne są nasze sentencye i aforyzmy, jak nasz przykład i metoda, a ta atmosfera karnawałowa, to „bez jutra" takie demoralizujące, które ona niesie ze sobą, tak szczególnie ujemnie wpływa na dziecko.

Stare to są prawdy, zużyte już i te ostrzeżenia, przyznajemy też sami, że tak jest, ale i smutek stary pozostał, a temu natrętnikowi tak trudno się opędzić.

Więc przez wzgląd na niego przebaczcie czytelniczki tych kilka spostrzeżeń ujemnych. Od czegóż wreszcie byłby post wielki, a wszak przez całą porę balów i festynów ani jednem słowem niepoważyliśmy się zakłócić wesołości waszej.



MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Więc na chytrość, chytrość. Zacząłem szpiegować — i wydusiłem z rybaka, że zamówił go panicz na dzisiaj z czółnem — do pasieki. O świcie już tam byłem, odesłałem pasiecznika na wieś i ukryłem się w jego budzie, a we dworze-m powiedział, że jadę do miasteczka. No, i udało się. Przypłynęli, rozłożyli się pod lipami, o trzy kroki od budy. Widziałem, słyszałem — miałem prawdę. I wtedy mnie krew mózgi zalała, i wyszedłszy powiedziałem jej, co się należało. Wypierać się nie mogła, ale się panicz za nią ujął, chciał mnie uderzyć — wtedym oszalał, pchnąłem go, plunąłem na nią i uciekłem. Teraz już oprzytomniałem — nie warta była mego starania, ani mojej złości, szelma jest, ale i panicz nie miał się za kogo ujmować. Oto jest prawda, proszę pani — ja klucze przyniosłem i księgi.

Pani Taida jeszcze milczała, jakby się ze snu budziła. Nagle żachnęła się, i rzekła głosem, w którym gromy były.

— Weź klucze i księgi, i milczeć. Rozumiesz — jeśli się dowiem, żeś słowo pisnął, stracisz posadę i świadectwa nie dam. Kamień w wodę!

Zawróciła się i wyszła. W sypialni już Kazia nie było—umknął w ostatniej chwili. Pani Taida drżącemi rękami, zajrzała do księgi pensyi, potem z kasy odliczyła pieniądze i poszła do pokoju panny Wandy.

Zapaliła świecę. Dziewczyna w ubraniu leżała na łóżku. Zerwała się, najoczywiściej zaspana.

— Oto są pieniądze za rok. Konie będziesz miała na ranny pociąg. Zbierać się żywo. Pod tym dachem niema dla takich miejsca.

— Proszę pani... ja... ja nic pani nie ukradłam! — poczęła panna Wanda.

— Okradłaś moją wiarę, i okradłaś kobiecą cześć własną.

— Moja cześć do mnie należy, i sprawy z tego nie mam komu zdawać — coraz śmielej odcinała się panna Wanda.

— Mylisz się. Poza sądem Bożym jest ludzki sąd. Mężczyźni odpowiadają za swój honor, kobiety za swój powinny.

— Com ja winna, żem się dwom podobała.

— Winnaś, bo żebyś jednemu była wierna drugiby ciebie nie zaczepił. Zalotność nietylko jest grzechem, ale wstydem. Uczyniłaś wstyd nam wszystkim! Pogarda i lekceważenie kobiet, jest dziełem takich jak ty!

— Ja nic nie jestem winna. I co ja w domu powiem?

— Jeśli się czujesz niewinną, opowiedz prawdę. Jeśli zaś zrozumiesz swą winę, to możesz milczeć. Ja cię oszczędzę tym razem. Ale radzę się zastanowić i zrozumieć, że taka zabawa jest hańbą ducha człowieczego i doprowadzi cię do poniewierki.

Gdzie są klucze i rachunki?

Panna Wanda poczęła udawać, że szuka kluczy, ale bezskutecznie, bo były u kucharza.

A nieubłagana pani Taida czekała.

Wtem weszła Hanka.

— Pomóż-no pannie Wandzie odszukać kluczy.

— Zkądże tu one mają być. Kucharz je ma u siebie — zamruczała stara.

— Jakto?

— A toć panna je co wieczór oddaje!

— Idźże i przynieś je do mnie! — rzekła pani Taida. Panna Wanda dzisiaj wyjeżdża. Pomożesz jej się pakować. — I wyszła.

Ale to nie był koniec. Udała się wprost do oficyny.

Kazio musiał już brata przestrzedz, bo gdy otworzyła drzwi, zastała Włodzia pilnie piszącego.

Tu się efekt nie udał—chłopak był przygotowany.

— Jakiem prawem bałamuciłeś Wandę! — spytała ostro.

— Przepraszam mamę, ale to ona mnie bałamuciła — odparł czelnie.

Na to nie było odpowiedzi.

— Czy rozprawa twoja gotowa?

Uf! to było gorzej. Włodzio się zmięszał—posunął książkę na swój rękopis.

— Jeszcze nie zupełnie — bąknął.

Ale pani Taida dostrzegła ruch — usunęła go i wzięła zeszyt.

Przeczytała nagłówek. Niżej było pół zapisanej stronnicy i białe karty.

— I to wszystko?

Pod spojrzeniem jej Włodzio radby się w mysz zamienił i umknął w szparę podłogi.

— To już na czysto. Mam notatki!—wskazał stos papierów.

Pani Taida sięgnęła i tam, ale Włodzio miał feralny dzień. Pierwsze co napotkała, były to rysunki, karykatury i żarty takie, że je co rychlej rzuciła. Dalej znalazła jakieś wiersze, potem massę listów—notatek jakoś nie było. Wtedy popatrzała na niego długo, długo, a on pod tym wzrokiem kręcił się i czerwienił.

— Hodowałam cię nie na rozpustnika i kłamcę! — rzekła wreszcie z takim żalem i wyrzutem, że go raptem opuściła śmiałość i cynizm, a ogarnął wstyd i upokorzenie.

— Niech mama daruje! — szepnął.

Pokręciła głową i ciężko westchnęła.

— Pracowałam całe życie, żebyście przez moją pamięć szanowali inne kobiety.

— Proszę mamy — rzekł poważnie — ale inne, tysiące, pracują, by niemi pogardzać, a jam tylko takie spotykał.

— I pocoś jeszcze mnie okłamywał, poza memi plecami, korzystając z jej lekkomyślności.

— Nie wypada mi się bronić cudzym kosztem, ale...

Skinęła ręką, bardzo dotknięta.

— Nie tłómacz się. Miałeś naukę...

— Miałem — o miałem! I mogę mamie przysiądz, że teraz zajmę się tylko rozprawą. Niech mama Waśkowskiego nie karze!

Nazajutrz rano nie było panny Wandy w Rudzie, i jak zwykle po niewczasie wyszły na jaw wszystkie jej sprawki. W pokoju znaleziono bezład nie do opisania. W szufladach kłęby szmat, podartych pończoch, nasiona ogrodowe, skórki pomarańcz, jakieś maści w zatłuszczonych papierkach, ogryzki ciast, kawałki cukru, korki od bucików, wstążki, klucze od pogubionych kłódek, i kłódki od pogubionych kluczów, zeszyt z rachunkami oblany wiśniowym sokiem, kilka serwet holenderskich, pokrajanych na woreczki do twarogu, księga mleczywa, zasmarowana wierszami i mnóstwo innych rzeczy. Hanka stara opowiedziała o rautach u ekonomów, a reszta służby na wyścigi ogadywała nieobecną, aż pani Taida podniosła głos i ucięła zwierzenia. Po jej admonicyi wszyscy znaleźli, że najlepiej będzie milczeć, aby gromów więcej na własną głowę nie ściągać.

W gospodarstwie był taki bezład, że pani Taida zdawszy na Kazia zarząd roli, dwa tygodnie ciężko pracowała, zanim doprowadziła znowu do porządku śpiżarnię i nabiał, ogród i cielęta. Kilkoro tych ostatnich jednakże nie przeżyło opieki panny Wandy. Gdy pani Taida podsumowała rezultat pracy swej pomocnicy, doszła do wyniku, że oprócz wynagrodzenia i życia, ta żądna pracy osoba kosztowała Rudę kilkaset rubli.

Nie był to jeszcze koniec nieprzyjemności. Przyszedł list od ojca panny Wandy pełen gorzkich wymówek, że córka straciła zdrowie wskutek nadmiernego zajęcia, nad siły kobiece, że za swe poświęcenie i oddanie, dostała gorzką niewdzięczność, że pani Taida wyzyskiwala bezwzględnie jej pracę — cztery stronice tej treści.

Zrazu, oburzona pani Taida odpisała, potem rzuciła list do ognia i tylko w swej szarej księdze dała folgę swej goryczy!

„Więc tak wyglądają pracujące kobiety, więc w ten sposób mają sobie wywalczyć samodzielność, więc to dla takich wre i kipi świat cały! Więc zajęcie, które spełniała Dysia, jest nad siły młodej dziewczyny. Ja ją wyzyskiwałam, od pracy straciła zdrowie! Napiszę ja—dzieło o emancypacyi! Ale niech mnie Bóg broni od powtórnej próby!"

Postanowiła pani Taida dać sama radę robocie, i trwało tak aż do końca wakacyi.

Kazio wyręczał ją doskonale w domu i gumnie, szło wszystko jak w zegarku, aż się bociany zaczęły zbierać do odlotu.

Pierwszy odjechał Włodzio z gotową rozprawą — temu pilno było do Warszawy, bo już syt był atmosfery i cnoty obowiązującej na wsi. Po nim i Kazio zaczął przebąkiwać, że mu pora w świat ruszać. Pani Taida wzdychając zaczęła go w drogę ekwipować.

— Mój Boże, czemu nie mam choć jednej córki! — myślała z ciągłym do losu żalem.

I wyprawiła Kazia na praktykę zagranicę, i została na słotną jesień i długą zimę sama w domu.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA.

Przemysł wiejski.

Do tego stopnia zamącone są u nas pojęcia o tem wszystkiem co dotyczy potrzeb ludu — o tem co w tej sprawie wielkiej doniosłości jest możebnem lub niemożebnem — pożądanem lub niegodnem zupełnie poparcia, że dzisiaj każdy objaw trzeźwego na tę kwestyę zapatrywania połączony nadto z inicyatywą i czynnem wystąpieniem, witać nam przychodzi z podwójnem uznaniem.

Do takich objawów zaliczamy w pierwszym rzędzie szczęśliwy pomysł rozwoju tkactwa wśród naszej ludności wiejskiej, pomysł godzien jak najszerszego upowszechnienia i naśladowania. Dzisiaj dzięki staraniom i nergii p. Kleniewskiej pomysł wszedł już w życie, i w dobrach jej Kluczkowice w gubernii Lubelskiej, założoną została szkoła tkactwa, w której pod kierunkiem specyalisty na kilkunastu warsztatach systemu Jacquart'a młodzież wiejska uczy się fachu, jak najściślej związanego z potrzebami jej sfery, fachu mającego przed sobą pewna widoki rozwoju. Jest to ze strony założycielki filantropja prawdziwa, nauczanie bowiem w szkole jest bezpłatne, a dziewczęta wiejskie ochoczo garną się do tej pracy.

Choćby nawet drogi zbytu nie były przed tym przemysłem tak szeroko roztwarte, jak utrzymują niektórzy, chociażby przemysł drobniejszy nieuchronnie miał mieć nieprzejednanego a przemożnego wroga w wielkiej industryi, w każdym razie tkactwo wiejskie winno być popierane u nas wszelkiemi siłami ze względu, że daje ono oprócz korzyści bezpośredniej, korzyści dodatkowe wcale nie mniejszej od tamtych ważności.

Bez żadnej potrzeby, wprost instynktem lenistwa wiedziony, włościanin nasz rzucił swój pierwotny przemysł tkacki domowy, i dał się złudzić taniością wyrobów, którymi zalewają wszystkie rynki wielkie zakłady fabryczne Łodzi i Żyrardowa. Bez potrzeby wyrzekł się samodziałów swoich, które jedne tylko trwałością swoją odpowiadały jego potrzebom, a to co na razie wydaje mu się tańszem, dla samej niewytrzymałości tylko, już o wiele drożej wrachunku dobrym wychodzi. Przychodzi inny jeszcze wzgląd niemniej od tamtego ważny. Nasi pedagogowie ludowi nowej szkoły zapomnieli zupełnie o tem, że dla tego ludu przygotowanie przędzy najpierwotniejszym choćby systemem, jest bądź co bądź produkcyjnem wypełnieniem długich godzin zimowych, że ono gromadzi w miejscach pracy, a przez gromadzenie uspołecznia i kształci. Zresztą tradycya sama tego trudu tak rodzimie naszego, także przecież zasługuje, aby ją uwzględniono, a my tymczasem snując nasze marzenia o resursach ludowych, o chimerycznych sposobach jego rozwoju przy pomocy zabawy, puściliśmy odłogiem to, czego nie należało w żadnym razie zaniedbać. Już to tam wogóle trud wskazań, dla zaspokojenia potrzeb duchowych i materyalnych wiejskiej ludności, musi wziąść na siebie intelligencya wiejska, a to tem gorliwiej, że jej w tem miasto wiele chyba nie dopomoże.

Drugim faktem także bardzo pocieszającym, śpieszymy się podzielić z czytelnikami, a jest nim założenie w Koziegłowach w powiecie Bendzińskim fabryki kapeluszy słomkowych. Założycielem jest hr. Łubieński, który skorzystał z pewnego stopnia samorodnej techniki miejscowych mieszkańców od lat kilkudziesięciu oddających się pleceniu kapeluszy, a wyroby te już do tej pory zdołały bez organizacyi pracy wyrobić sobie zbyt dosyć daleki. Niejedna z elegantek naszych płacąca znaczną summę za kapelusik letni ani się domyśla, że nabywa wyrób krajowego przemysłu. Obecnie zreformowany i zaopatrzony w środki udoskonalenia ten przemysł ma widoki wielkiego rozwoju i zbyt znaczny mianowicie w granicach Cesarstwa. Dzieci pobierają w fabryce 25 kop. dziennie i dostają przytem podwieczorek, dorosły robotnik zarabia od 75 kop. do 1 rs. dziennie. Jak widzimy z tych cyfr, jest to skuteczny środek na zużytkowanie sił roboczych miejscowych, niedopuszczający wytworzenia się proletaryatu rolnego, tak niepożądanego w naszych stosunkach wewnętrznych.

Ze sztuki.

Odroczone przedstawienie „Livii Quintilii,” opery Zygmunta Noskowskiego miało miejsce we Lwowie w dniu 16 b. m. Krytyka wyraża się o utworze naszego kompozytora bardzo przychylnie, sprawozdania mówią o wieńcach, wywoływaniach i owacyach dla twórcy i artystów. Jest też mowa w korespondencyach o melodyjności uwertury i o aryach, o których powtórzenie upominała się publiczność lwowska. Znaczyłoby to w każdym razie, jeśli sprawozdania są ścisłe pod względem oddania nastroju publiki, znaczyłoby to, że muzyka „Livii Quintilii” jest w tym stopniu popularną, iż ją odczuwają szerokie koła słuchaczy, a nie jakieś pojedyncze kółka, przyswajające sobie wyłączne prawo oceny na podstawie wyższego stopnia muzykalności i wtajemniczenia w arcana sztuki. Bardzo to szczęśliwe byłoby dla autora, bo niewątpliwie jedno tylko trafienie do upodobań powszechności daje rękojmię, że dzieło przetrwa na scenie, że tak jak zachwycało miłośników muzyki za pierwszem przedstawieniem, tak samo czarować będzie za rok i za lat dziesięć.

Stopnie uzdolnień artystycznych i poczucia piękna są niewątpliwie bardzo rozmaite, ale wogóle nie przy tych chyba słuszność, którzy starają się wmówić w ogół, że dosyć jest samej popularności utworu, aby muzykę nazwać pospolitą. Opowiada się wtedy, że opera idzie na kataryniki, że zaspakaja tylko gminny gust motłochu, i tysiączne podobne zarzuty, których nie szczędzi wszystko co jest fachowe, inicyowane i jak się to mówi — wybrane. Gdyby tak istotnie być miało, to musielibyśmy uwierzyć w gminność muzyki takiej, w Hugonotach, Proroku, Żydówce, Fauście, Ernanim, Łucyi, Lukrecyi, Marcie, Stradelli, Halce, Flisie i tylu, tylu innych których popularność była odrazu wielka, które nie potrzebowały przekonywań krytyki, a owszem przez entuzyastyczne przyjęcie wyprzedzały sądy uczone i fachowe. Co woli autor, zarówno muzyk jak poeta — czy to, gdy jest uznanym przez jakąś elitę społeczną, czy to gdy jest w sercu i na ustach wszystkich, nie chcemy decydować ostatecznie, ale wydaje nam się, że szczęściem bądź co bądź jest owładnąć tą sferą szeroką, która ze słusznością przyznaje sobie, że w niej, a nie poza nią, żyje dusza narodu. Wszystkie inne dowody uznania, pochodzące od kółek, grup i koteryj, tworzą wielce niedługotrwałe sławy, jednodniowe tryumfy i kadzidła, po których zapomnienie i nicość przychodzi nieuchronnie.

Zmarli.

Ś. p. *Antoni Kurzawa* znany powszechnie artysta rzeźbiarz, zakończył życie po długiem bardzo stopniowem chyleniu się do mogiły. Tragicznym prawdziwie był ten, lata całe trwający, bezwład przedśmiertny, i te przebłyski geniuszu chwilowe, które przeżyły u niego rozstrój nawet umysłu, i zupełną prawie niemoc organizmu fizycznego. Świadkowie tego staczania się fatalnego po pochyłości przypominają wiele szczegółów równie smutnych jak charakterystycznych, świadczących jak artystycznym nawskróś musiał być ten ustrój, który wśród zupełnego upadku umysłowego kojarzył jeszcze pojęcia w zakresie twórczości swojej, przerabiał idee, ujawniał pomysły wcale nieposlednie. Ci, którzy znali go najbliżej, powiadają że wykształcenia niezbędnego dla artysty nie odebrał, tembardziej też zdumiewającą jest ta indywidualność w właściwym kierunku, tem więcej dziwić musi przejmowanie się Słowackim jeszcze w epoce ostatniej, przejmowanie się wielkim poetą i instynktowne podążanie za jego myślą.

Sądzonem było aby wszystko niedokończonem i niedośpiewanem pozostało w tem krótkiem życiu znakomitego artysty. Same zniechęcenia, same zawody; nigdy wzlotu zupełnego na te wyżyny, do których powoływał wybrańca jego geniusz niezaprzeczony. Przytaczają pisma jego wyśnioną postać Chrystusa, którą chciał odtworzyć wedle idei swojej — można powiedzieć idei bogatej, jako pomysł, a postać tę już ukończoną rozbił po przyganie jakiegoś niedouczonego artystycznego dyletanta, który przywlókł się do pracowni, aby obejrzeć to, na czem nie rozumiał się zapewne wcale. Tak samo zniechęcony przez krytykę zniszczył niepospolite dzieło swoje: Mickiewicza budzącego geniusza poezyi. Praca ta złożona z ułamków stanowi jeden z jego niezaprzeczonych tytułów do pośmiertnej sławy. Równie znanym jest jego „Siewca” utwór przepyszny — utwór czystego natchnienia, głęboko obmyślany i po mistrzowsku prawdziwie oddany.

Słusznie powiada sprawozdawca „Głosu” w serdecznem uznaniu dla pamięci zmarłego, że pozostawił on bądź co bądź znakomitą głowę genialnego człowieka i rękę chłopa, którejby się Michał Anioł nie powstydził. Niechaj z Bogiem spoczywa!

Wskazówki i rady.

Badyanki.

Garniec mąki, 16 całych jaj, funt masła $1\frac{1}{2}$ funta cukru, 2 łuty amoniaku w proszku czyli węglan amonium, który używa się do piernika, wsypać anyżu gwiazdkowego tłuczonego dwie łyżki pełne, pół kwarty śmietany, to wszystko razem wymieszać dobrze, ciasto wałkiem roztoczyć niezbyt cienko i różne ciastka wyrabiać lub wykrawać formą blaszaną.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na M. Pil. w Żytomierzu. Numera zaległe wysłane zostały pod datą 9 b. m.—o przesyłce numerów zeszłorocznych nic nie wiemy.

Sz. Prenumeratorce z Wołynia M. W. Metoda Głodzińskiego, o którą Sz. Pani pyta kosztuje rs. 2.

W na Hel. Podg. w Jabł. p. Białą Cerkiew. Skład broni Tarchalskiego, Warszawa, Długa 25.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Февраля 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

— Ach, co za niespodzianka! — zawołała donna Paolina — prawdziwy melodramat, na honor! I któż to ten inny?

Jan Marya powstał, coś pchało go, aby wyszedł i zawołał — ja.— Zdawało mu się, że powinienby teraz stać przy jej boku, ale to słowo „melodramat“ powstrzymało go. Wydało mu się to nagłe zjawienie się śmiesznem. Padł z powrotem na krzesło. Donna Paolina usłyszała to poruszenie, posunięcie się krzesła, i odgadła w jednej chwili, kto na tarasie rozmowy ich słuchał. Oburzenie pozbawiło ją całej równowagi. Donna Paolina nie była ostatecznie zła, przynajmniej nie gorsza od większości ludzi, ale biada temu, kto ją uraził! A Caterina uraziła ją tem, że ukrywała świadka ich rozmowy, a bardziej jeszcze tem, co markiza nazywała niewdzięcznością. Być niewdzięcznym wydawało jej się zawsze największym grzechem, bo niewdzięczność zniechęca do czynienia dobrodziejstw, a donna Paolina nie chciała nic innego, jak robić dobrodziejstwa zawsze i wszędzie. Myślała, że nie jest samolubną, lecz było to jej największym błędem i złudą. Jej religijność miała poprostu takie dno: czynić dobrodziejstwa, aby zbierać od nich procenta w niebie. Przekręcała zdumiewająco sens zdania: — cokolwiek uczynicie jednemu z tych ubogich, mnieście uczynili. — Każdy nędzarz, którego hojnie obdarzyła, nie był dla niej niczem innem, jak maską, którą przywdziewał Zbawiciel, aby ją wypróbować. Gdyby kto wynalazł niezawodny środek na usunięcie nędzy i ubóstwa z tego świata, byłaby go nienawidziła i uważała za godnego spalenia na stosie. Nędza powinna była istnieć na świecie! Była dla niej instytucyą boską, podobnie jak kościół, tron, arystokracya i wszystko, co jej zapewniało wybitne w społeczeństwie ludzkiem stanowisko. To wszystko istniało właściwie tylko na to, aby donna Paolina mogła szczęśliwie żyć na ziemi, a potem, bez nazbyt wielkiego wysiłku, w bramy niebieskiego wstąpić królestwa. Za nadmiar swego bogactwa kupowała sobie tanio bilet wejścia do raju. Ale z przyszłych tych procentów chciała i wymagała donna Paolina małej zaliczki już tutaj, na grzesznym tym świecie. Chciała widzieć łzę wzruszenia w oku tych, którym okazywała dobrodziejstwa, chciała słyszeć wykrzyki podziwu nad anielską swoją dobrocią... Takie wspomnienia słodko ją niekiedy kołysały, gdy o zmroku siedziała w swoim pokoju, w dni wolne od zebrań u królowej, odwiedzin towarzyskich i przyjęć u siebie. Wzruszające te objawy wdzięczności miały dla niej tę samą wartość, co wspomnienia o jakiejś kadency Adeliny Patti, lub o jakiejś niezwykle świetnej deklamacyi której ze słynnych artystek dramatycznych. Te łzy, te wykrzyki wdzięczności wywoływały równie miłe poruszenie uczuć, jak owe kadence i deklamacye. Czegóż się nie była dziś od Cateriny spodziewała! Jak żywo wyobrażała sobie z góry tę scenę w nawpół opuszczonym domu w San Cataldo! Nie rzuciż jej się Caterina do kolan, gdy usłyszy, że stanie się oniemal dziedziczką markizy Valmarina? Ach, to było haniebne, jak ją to dziewczę zawiodło! Ograbiło, okradło ją z zysków takich czystych, takich anielskich, na które z całą pewnością była już liczyła! Oburzenie jej nie miało granic. Chwyciła Caterinę tak gwałtownie za rękę i szarpnęła nią tak silnie,ża dziewczę o mało nie upadło.

— Kto jest ten inny — powtórzyła pytanie.

Caterina milczała, urażona i zdumiona takim wprost brutalnym wybuchem gniewu.

— Cóż ci może ciotko na tem zależeć — rzekła wreszcie.

— Wiem ja, wiem, kto to taki — zawołała donna Paolina z całem grubiaństwem wielkiej pani, która naraz być nią przestaje. — Wiem ja, kto to! Ów nieznany, niemożebny, którego gdzieś na ulicy podjęłaś, a teraz w domu swym ukrywasz, w objęciach swych kołyszesz, panno Caterino di Soranesi!

— Ach, milcz pani! — zawołała Caterina gwałtownie i dumnie.— Nie tykaj tego, którego za małżonka swego uważam!

Donna Paolina zaśmiała się głośnym, prostackim śmiechem jak przekupka na targu.

— Ach, ty szlachetna istoto! — rzekła obelżywie.—O mało nie powiedziałem: czysta—ale powątpiewam o tem.

Jan Marya wszedł do pokoju. Nie mógł dalej słuchać spokojnie. Ale co miał począć? Z mężczyzną strzelałby się, rzuciłby się na niego, ale co począć z donną Paoliną? Nie wiedział, czuł tylko, że wejść musi, że obowiązkiem jego jest bronić Caterinę od dalszych zniewag.

— Pani markizo — rzekł — jakiem prawem śmiesz pani targać się na honor człowieka, którego nie znasz? Ale nie o to chodzi. Jakiem prawem śmiesz pani Caterinę obrażać, Caterinę, moją narzeczoną?

Donna Paolina patrzała pogardliwie na młodego człowieka, ale wrażenie, jakie na niej robił, nie było tem, które okazywała. Schorowana twarz jego była taka piękna, cała postać taka dystyngowana, a coś tkliwego w oczach i w głosie niespodzianie ją rozbrajało. Gniew jej ucichł, cała ordynarność, która jeszcze przed chwilą tak ją była szpeciła, znikła nagle. Odzyskała krew zimną.

— Mam prawo mówić—rzekła po chwili—co mi się prawdą wydaje, mam prawo być surową i czuwać nad dziewczęciem, z którem pokrewieństwo mię wiąże. Markiz Valmarina jest opiekunem panny di Soranesi. Jeżeli chciałeś pan starać się o jej rękę, z nim wypadało naprzód się rozmówić. A cóżeś pan uczynił zamiast tego. Postąpiłżeś jak człowiek honoru? Bez żadnej delikatności wcisnąłeś się do domu i kompromitujesz dziewczynę, o której twierdzisz, że ją kochasz. Mieszkasz pan tu, jakbyś był jej mężem, przyjmiesz ofiarę jej dobrej sławy. Panie, nie mam dla pana szacunku.

Jan Marya milczał chwilę.

— Mylisz się pani — rzekł potem... Ale uczynię zadość nawet niesłusznemu pani życzeniu. Odjadę jutro do Rzymu. Jeżeli wyzdrowieję, usprawiedliwię się w oczach pana markiza, opiekuna mej narzeczonej.

— Nie — zawołała Caterina.— Nie potrzebujesz się usprawiedliwiać. Nie zwracaj uwagi na panią markizę, cóż ona nas obchodzi, cóż nam do tego, co ona myśli? Markizo, sądziłaś o mnie nizko—a jednak byłam wam dość dobra dla waszego wychowanka. O kim tedy myślałaś obelżywiej, o nim, czy o mnie?... Pani, nie mam szacunku dla ciebie!

— O zuchwała! — zawołała w uniesieniu markiza i podniosła bezwiednie rękę.

— Wyjdź pani! — rzekła Caterina dumnie, ze wzgardą. Nienawidziła markizę śmiertelnie, nie za to, że źle o niej myślała, lecz że uraziła Jana Maryę.

Markiza zbladła z gniewu.

— Idę—rzekła—ale postaram się przerwać ci tę twoją sielankę. Pan możesz zostać, umieraj sobie spokojnie w San-Cataldo, skoro masz ten kaprys! Ostatecznie nająłeś pan lokal i masz prawo w nim mieszkać. Ale jest jeszcze na szczęście prawo, zabraniające młodej dziewczynie dawać bezwstydem swoim zgorszenie światu całemu. Opiekun jej chwyci się wszystkich środków, jakie to prawo mu przyznaje, aby ją ztąd, na czas pańskiego w domu jej pobytu, usunąć. Będzie to wprawdzie skandaliczne poniekąd, ale u panny di Soranesi nie ma to już znaczenia.

Zwróciła się ku wyjściu, rzuciwszy jeszcze na Caterinę pełne nienawiści i wzgardy spojrzenie. Ale u drzwi spotkała nagle przeszkodę. Suntarella słyszała była całą scenę z obocznego pokoju. Stała teraz naprzeciwko markizy posiniała z uniesienia namiętnego, z oczu strzelały jej płomienie, a włosy wydawały się zjeżoną lwią grzywą. Długie jej palce zakrzywiały się kurczowo, niby zaciskające się szpony, jedną ręką wpiła się w twarz własną, drugą wzniosła ku niebu.

— Stój pani, pani markizo—rzekła, a głos drżał jej wprawdzie z uniesienia, ale nie grzmiał, był raczej cichy i syczący. — Stój pani, powiem ci słówko.

Markiza stanęła mimowoli.

— Jesteś pani zła, zła jak dyabeł — rzekła Suntarella, oparłszy się o drzwi plecami. — Niech cię Bóg zatraci!

Markiza zrobiła ruch, jakby rozkazując, aby na bok się usunęła.

Suntarella ani się ruszyła.

— Słuchaj pani—rzekła szeptem prawie.— Przypominam sobie pewną kobietę z czasów, gdym jeszcze była młoda. Ludzie opowiadali, że była niegdyś bogata i sławna jak królowa. Była podobno śpiewaczką i tykała się z książętami i królami. Ale gdy ja ją znałam, była czemś jak mór uosobiony! Stara, zataczająca się, wstrętna, w ranach od stóp do głów, okryta łachmanami, żarta przez robactwo. Nikt jej nie znosił pod swoim dachem. Zdaleka rzucali jej jałmużnę, kęsy chleba, jak psu parszywemu.

— Co mnie obchodzą baśnie twe, waryatko—rzekła markiza.—Usuń się.

— Nareszcie umarła — ciągnęła dalej staruszka, nie zwracając na jej słowa uwagi. — Umarła... Wiesz pani, jak? Za wsią była jama, dokąd rzucano wszystko, co zdechło, wszystko, co było najwstrętniejszego! Tam konała na zgniłej słomie. Wołali do niej księdza, nie chciał iść, ale kmotry go przymusiły. Podawał jej Ciało Pańskie zdaleka na drewku, i spadło, tak, że skończyła bez Sakramentu—taki będzie i twój koniec, pani! Niechaj Bóg mnie wysłucha! Stań się pani jednym wrzodem morowym, na grozę i wstręt ludziom, i oddaj ducha nieoczyszczona ciałem Zbawiciela!

Odstąpiła odedrzwi i otworzyła je.

Donna Paolina drgnęła z trwogi zabobonnej, spuściła głowę i wyszła bez słowa.

Wszyscy w pokoju stali w milczącem a bolesnem odrętwieniu, póki nie usłyszeli turkotu odjeżdżającego powozu.

Suntarella rzuciła się teraz do Cateriny, całowała ją, płakała głośno, dawała jej najsłodsze imiona i przerywała swe wylewy miłości najstraszliwszemi klątwami przeciwko donnie Paolinie.

Caterina była długo nieruchoma; nareszcie uwolniła się łagodnie z objęć Suntarelli.

— Nie myślmy już o niej — rzekła — ani o tem, co się stało.

— Ach, Caterino—zawołał Jan Marya—co ty znosisz z mego powodu, co gwoli mnie przechodzisz! O Caterino, jakiż ja jestem nieskończenie nędzny i nieszczęśliwy! Jestem przyczyną wszystkich cierpień twoich!

Caterina uścisnęła mu rękę, chciała go pocieszać, ale on nie dał jej mówić.

— Teraz—rzekł—pozostaje mi tylko zdecydować się i spiesznie odjechać. Donna Paolina, acz zła i niesprawiedliwa, ma ostatecznie zupełną słuszność. Samolubstwem było chcieć umrzeć tutaj; nie postępowałem wogóle, jakem był powinien. Tylko okoliczności mogą mnie w części usprawiedliwić.

— Jeżeli kochasz mnie—rzekło dziewczę—nie mów dalej ani słowa o tem, co się stało. Wszystko zostanie po staremu, ty nie odjedziesz—a o resztę nie dbam.

— Mylisz się, Caterino—rzekł.—Ta kobieta groziła i działać będzie. Nie widzę jasno, co przedsięweźmie, ale z całą łatwością uda jej się robić ci różne nieprzyjemności. Albo ja muszę odjechać ztąd, albo ty. A gdybyś tak na kilka dni pojechała do ciotki Galli?

— Na kilka dni — powtórzyła Caterina z boleścią niezmierną — kilka dni cię nie widzieć? I cóżbyśmy przez to zyskali?

Jen Marya milczał, odpowiedział na to pytanie sobie tylko w duszy:

— Tymczasem ja umrę tutaj.

Myśl, że umrze samotny, zdala od niej, kurczem strasznym ściskała mu serce. Ale przemógł się i zachował spokój.

— Nie — rzekł. — Zostań tutaj.— Lepiej będzie, jeśli ja wyszukam sobie jakiś przytułek w Rzymie, gdzieś w pobliżu Luigi'ego, który z pewnością bratersko mną się zajmie. Gdy mi będzie lepiej...

Nie zdołał dokończyć, wiedział, że mu lepiej nie będzie, wiedział, że ona też wie o tem.

— O, co za myśl szczęśliwa!—zawołała Caterina.—Co za szczęśliwa myśl, zwrócić się do Gigi'ego! Jest to prawdziwy przyjaciel, szczery jak złoto. Napiszę do niego, o wszystkiem i zaraz. Poszlę go do markiza. Markiz jest bardzo poważnym i uczciwym człowiekiem. Gdy Luigi z nim pomówi, nie da się żonie namówić do niczego, coby nasz spokój tutaj zakłócić mogło. Obiecaj mi przynajmniej, że nie będziesz się ztąd wybierał, póki do Luigi'ego nie napiszę i odpowiedzi od niego nie dostanę, lub póki on sam, po liście moim, tu nie przyjedzie.

— Niech tak będzie — odrzekł Jan Marya, niezmiernie znużony i rad, że małą zyskał zwłokę.—Kto wie, pomyślał—może tymczasem los mój się wypełni?

— Napiszę zaraz—rzekła Caterina i poszła do stolika swego po papier.

Jan Marya odszedł powoli, niepewnym krokiem, do swego pokoju. Zdawało mu się, że nowy na barkach niesie ciężar. Rzucił się na łóżko. Jakiż nowy zamęt wywołały w nim bolesne, ostatnie te wrażenia. Jak zachwiał się jego tylko co i z takim trudem zdobyty spokój! Ach, donna Paolina mówiła straszne rzeczy, tem straszniejsze, że za jej nienawiścią ukrywał się jednak ostatecznie kęs prawdy, o tyle przynajmniej, o ile o obelgi do jego osoby zwrócone chodziło. Biedna Caterina! Jakże powinien był się zachować teraz, co począć, aby, o ile można, najmniej zła jej wyrządzić? Jedno było jasne: że śmierć jego będzie dla niej wyswobodzeniem! Jął pragnąć, aby raz już przyszedł koniec. Dziwił się, jak mógł dotąd tak uparcie czepiać się życia, tych kilku krótkich chwil, które mu jeszcze pozostawały. Co go tu przywiązywało? Odpowiedź była jasna: Caterina! Caterina, tak, ale każde okamgnienie jego życia było dla niej właściwie udręczeniem, nawet pamięć o nim będzie dla niej klątwą, pozbawiającą biedne, osamotniałe dziewczę krewnych i przyjaciół na tym smutnym świecie. Jakąż pociechą była mu teraz myśl, że Luigi Galli będzie jej podporą, bratem serdecznym, a z czasem — ufał — i małżonkiem. Radość, jaką sprawiała mu ta nadzieja, inną jeszcze była mu pociechą, widział, że samolubstwo, które w nim dawniej gorzką tę zazdrość budziło, nadobre wreszcie pokonać zdołał. Uspokojony poniekąd, leżał cicho, bez ruchu, w stanie jakiegoś półsnu — półjawy, a gorączka ukryta, ale stała, podgryzała niepostrzeżenie, ale nieprzerwanie też i bezlitośnie, słaby już korzeń tego młodego, przez losy zmiażdżonego, straconego żywota.

Tymczasem Caterina pisała spiesznie do Giggi'ego. Odesławszy list, chodziła niespokojnie po pokoju i rozmyślała. Co będzie, jeżeli Giggi nie wyrobi nic u markiza. A jeśliby ją doprawdy, pod jakimbądź pozorem, mogli gwałtem oderwać od Jana Maryi, choćby na krótko? Na krótko — to znaczyłoby może potem: na zawsze! Załamała ręce. Ten świat był taki zły, te prawa jego takie okrutne i niesprawiedliwe, że wszystko było możliwe! Gdyby był już mężem, jak donna Paolina rzekła... Gdyby był? Czemuż nim dotąd nie był, skoro oboje tak się kochali? Dziewczę zawahało się.

Suntarella weszła do pokoju i zbudziła ją z tej zadumy.

— Co robi nasz chory? — spytało dziewczę.

— Ach, contessino! — rzekła staruszka. — Serce mi pęknie, umrę z żalu. To wszystko razem, co się tutaj dzieje, to na mnie trochę za wiele. Byłam teraz w jego pokoju. Wkradłam się tam cichutko. Leży na łóżku i śpi. Śpi cicho, ale wygląda jak martwy. .

Caterina szarpnęła się gwałtownie i rzuciła ku drzwiom.

Suntarella zatrzymała ją.

— Nie — rzekła — śpi cicho i nie jest martwy, nie budź go! Ale ty wiesz, Caterino, że długo nie pożyje, choć jeszcze po domu chodzi. Chodził dzisiaj! Ale czy jutro chodzić jeszcze będzie?

— Po co mnie męczysz?—spytało dziewczę posępnie.

— Ponieważ chcę ci powiedzieć — no, że powinnibyśmy przecież posłać po księdza. Czyż on nie chrześcianin? nie katolik? Chcesz, aby tak odszedł bez pociechy religijnej, bez Sakramentów? Poszlij po dona Clemente, to obowiązek: Wiesz zresztą, że się niekiedy po przyjściu Pana Boga do domu cuda dzieją.

Caterina patrzyła na nią chwilkę w zamyśleniu. W oczach jej zrobiło się nagle jakoś jasno, coś mignęło w nich niby uśmiech promienny.

— Napiszę do dona Clemente — rzekła pomału – idź, Suntarello, bądź blizko niego. Gdy skończę list, zadzwonię na Angiolinę albo na Francesca.

Suntarella wielką uczuła pociechę.

— Przynajmniej umrze jak chrześcianin — szeptała do siebie. — Ta słodka jego dusza będzie między aniołami, podczas gdy my płakać tutaj będziemy—i szamotać się z takimi dyabłami jak donna Paolina.—I oczy zaświeciły jej dziką nienawiścią.

Caterina trzymała pióro w ręce i patrzyła przez okno na Kampanię, skąpaną w świetle chylącego się już ku zachodowi słońca. Myśli jej wzbiły się ku tej światłości, jak tam na dworze skowronki, i wracały z powrotem do jej duszy, tak samo, jak owe ptaki z pozłoconemi słońcem skrzydły z powrotem w mrok, na swe w trawach ukryte gniazda opadały. Całe wzburzenie, cała bojaźń ucichły w niej pomału. Zdało jej się, że widzi pogodne oczy dona Clemente, takie pełne dobroci i marzącej miłości ewangelicznej. Podczas choroby Jana Maryi był dwa razy; zawsze z krótkiemi jeno odwiedzinami do San Cataldo zawitał, a spółczucie i tkliwość, które w swój cichy, nieco marzycielski sposób wyjawiał, pozyskały mu sympatyę chorego i spotęgowane jeszcze przywiązanie Cateriny. Nie pytał jej o nic, nie zwierzała mu się z niczem, poprostu dla tego, że ani jednego, ani drugiego nie było potrzeba.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—50-12

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-1 przyjęcie od 9 do 6:
Chmielna N-r 16. m. 4.

ZAKŁAD TAPICERSKI
A. TELATYCKIEGO,
Hoża № 20, 816—25—1.
przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres specyalności.

„GABRYELA"
Magazyn kapeluszy damskich i dziecinnych,
Pracownia sukien
I NAUKA KROJU
oraz NAUKA STROJÓW.
Chmielna N-r 19, mieszkania 10.
814—25—1

Fabryka Kwiatów sztucznych
Wróblewskiej
Marszałkowska 140, m. 5,
poleca piękne wyroby, tak balowe, jako też i kapeluszowe, po cenach bardzo przystępnych. 808—13—3

GAMASTON
Wiara ✿
Nadzieja ✿
Miłość ✿
Nowelle, z illustracyami
A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.
Rs. 1 kop. 50.
Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi
„Tygodnika Mód i Powieści."

NOWY ZARZĄD
CZYTELNI DLA KOBIET
Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—1.
Wysyłka na prowincyę.

LECZNICA
Marszałkowska № 94,
róg Nowogrodzkiej (gdzie apteka W-go Barcza).
Porady we wszystkich specyalnościach dla przychodzących chorych od g. 9 do 4 i od 7 do 8 p. p., codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt.
Cena kop. 30. 806—15-4

Krucza 19, m. 21.
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
W. Bednarskiej,
Wykończanie sukien eleganckie, prędkie i tanie. 809—6—3

SKŁAD
SZKŁA, KRYSZTAŁÓW, PORCELANY, FAJANSU, MAJOLIKI,
oraz 585—25-13
własna malarnia na porcelanie
T. Z. OSIŃSKIEGO
Warszawa, Marszałkowska № 142.
WYBÓR WIELKI. CENY NIZKIE.

„Pomoc prawna"
DLA NIEZAMOŻNYCH 798—13—4
przy ul. Złotej Nr 14.
P. Adw. przys. **C. Brzeziński, A. Kronenblech, J. Przanowski** i **H. Zbrowski** udzielają porad prawnych, przyjmują sprawy do wszystkich sądów i redagują prośby do wszystkich władz i instytucyj. Codziennie od g. 9 r. do g. 4 p. p.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-10

Fabryka Gorsetów
I. SCHEFFEL
Niecała Nr. 8. 598—25—25

Egzystująca od roku 1879
FABRYKA NOŻOWNICZA
i Wyrobów Stalowych
KAROLA KALINOWSKIEGO,
dawniej **Przewoskiego.**
Poleca gotowe wszelkie wyroby nożownicze. Obstalunki i reparacye po cenach możliwie niskich, stałych.—**Fabryka: Marszałkowska 13, sklep: Rymarska 20.** 774-25-6

SKŁAD
Produktów Spożywczych Wiejskich
w Warszawie, S-to-Krzyzka 17.
Własnej dostawy z różnych miejscowości Państwa.
Przyjmuje produkta w komis od Szanownych Obywateli i poleca tenże Pp. Kupcom hurtowym na stałą dostawę po cenach kosztu + 2% prowizyi. Wysyła towary wszelkie na prowincyę. 572—25-25

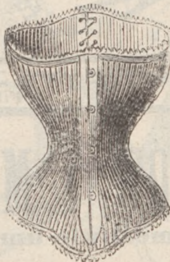
SAINT-LÉHON
Wino toniczne, odżywcze i wzmacniające, prawdziwe i jedyne wino dla rekonwalescentów. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych. 729-25-20

Nowo-otworzony Magazyn Mód
L. ZIELINSKA
11. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-27

Do handlu Delikatesów
nadszedł transport
Kolmarów
Pasztetów Strasburgskich
oraz co dwa dni świeże
Homary,
Soles,
Turbot.
W. Rogulin i P. Kuryluk w Warszawie,
w Gościnnym Dworze. — Telefon Nr. 729.
OSTRYGI,
Ananasy,
KAWIOR
Astrachański,
RYBY
świeże i wędzone
po cenach umiarkowanych.
799—4—4

Władysław Popiel
JUBILER,
WARSZAWA, SENATORSKA № 6,
poleca wielki wybór gotowej biżuteryi po cenach umiarkowanych. 654-26-20

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI
M. TENCERA
WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50 33



PRACOWNIA GORSETÓW I WYROBÓW POŃCZOSZNICZYCH
HELENY K.
pod firmą
M-me ANNA
Marszałkowska 84, między Żórawią a Wspólną.
Nagrodzona na Wystawie Pracy Kobiet za Gorsety Hygieniczne
Listem Pochwalnym.
Wyrabia oprócz fiszbinowych gorsety hygieniczne nieznane dotąd w kraju ze sprężynkami angielskiemi nigdy się nie łamiącemi, a bardzo miękkiemi doskonale utrzymującemi figurę. Gorsety do konnej jazdy, leniuszki, gorseciki dla panienek nie tamujące ich rozrostu. Posiada wszelkie wyroby pończosznicze, przyjmuje nadrabianie pończoch.
813—3—1

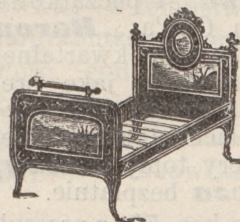
Sposób użycia załączam przy flakonach i wysyłam.



na żądanie gratis i franco. 815—13—1

CAPILLIFER
ŚRODEK
wzmacniający cebulki włosów niszczący łupież i mikroby, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką. Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2, 3, 4** i **6** rubli. **Mydła specyalne do włosów po 20, 30 i 40 kop. sz.** Pozwolenie Urzędu Lekarskiego za Nr. 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż u wynalazcy
T. L. GRABOWSKIEGO
Aleja Jerozolimska Nr. 76.
Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem.

NAJLEPSZE MYDŁO DO PRANIA
bez przymieszki żywicy i innych surogatów. **Nadaje białość, zapach, dezynfekuje nie niszcząc bielizny** usuwa potrzebę używania chlorku, sody, bielideł etc. etc. Wypróbowane w szpitalach i pralniach za granicą i u nas. Wyrabia fabryka
Żądać wszędzie. **„STĘPKOWSKI & SZYMAŃSKI"**
Warszawa, Wolność 16. — Telefonu 1110. 707-26-20



116. MARSZAŁKOWSKA 116.
SKŁAD FABRYCZNY
Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych
z oddziałem pościelowym
J. Neufelda, w Warszawie,
MARSZAŁKOWSKA 116.
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26 13
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**



Pracownia Sukien i Okryć Damskich 709-25-12
Maryi RYGIER
w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr 43, m. 10, druga brama, parter.

WYŚMIENITE
i
udelikatniające
MYDŁO TATRZAŃSKIE
WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ
WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO
Z ZAPACHAMI
Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży
Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.
Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.
730-10-9



713—12-6
Magazyn Instrumentów Muzycznych i Strun Włoskich
J. FEIGENBAUMA
w Warszawie, ulica Marszałkowska N. 153, róg Królewskiej
Specyalna pracownia wszelkich instrumentów muzycznych.

Pracownia Rzeźbiarska w drzewie
D. URBAŃSKIEGO
w Warszawie, ulica Bracka № 12.
Przyjmuje roboty kościelne, salonowe, meblowe, modele do odlewów i wszelką galanteryę.
CENY UMIARKOWANE. 780—24-6

Do nabycia we wszystkich księgarniach

O R A Z

W ADMINISTRACYI „TYGODNIKA MÓD I POWIEŚCI"

Chmielna 26,

N A S T Ę P U J Ą C E D Z I E Ł A:

	Rs.	kop.
Ariel St. Ułudy powieść współczesna.	1	20
— Irma	1	—
Dygasiński Adolf Złamane Życie, powieść.	—	80
Fehling Dr. Przeznaczenie kobiety.	—	35
Flaum M. Dr. med. Wykłady o hygienie żywienia.	—	60
Gamaston. Wiara... Nadzieja... Miłość... nowelle z illustracyami.	1	50
Gliński Kazimierz Kwiaty bez woni, powieść.	1	—
Junosza Klemens. Z pola i bruku.	—	80
— Wnuczek i inne nowelle i obrazki.	—	80
— Ojciec Prokop, kartka ze wspomnień.	—	20
Kosiakiewicz Wincenty. Rozpieszczona dziewczyna, powieść.	1	20
Konar Alfred. Pierwsza miłość.	1	—
Laskowski Kazimierz. Zużyty, kartka z życia.	1	—
Miecznik St. Owanes Ohana	1	20
Ołtuszewski Dr. Wł. Hygiena mowy.	—	30
Wilczyński Albert. Kłopoty starego komendanta 3 t.	1	80
— Fotografie społeczne 3 t.	1	80
— Dziecię niedoli i dziecię próżności 2 t.	1	20
— Woły robocze 1 t.	—	20
Wilczyński Albert. Z pamiętników Plotkarza 2 t.	1	60
— Siostra mojej żony 1 t.	—	60
— Dla dobra dzieci 1 t.	—	60
— Za groszem 1 t.	—	60
— Sielanki szlacheckie 1 t.	—	60
— Misya familijna 1 t.	—	60
— Na manowcach 1 t.	—	60
— Galerya dyletantów 2 t.	1	20
Zawadzki Józef Dr. O trawieniu, wykład popularny.	—	45
— Ważniejsze zdrojowiska.	—	35